

Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Sytuacja w komunikacji publicznej, a tym samym również w transmisji oraz w obiegu informacji, ulega bieżącym zmianom. Wprawdzie nie z dnia na dzień, ale jednak sukcesywnie. W obserwacji trudno nieraz dotrzymać kroku.

Przemiany doraźne są fragmentarycznie relacjonowane w sieci oraz w czasopiśmie pozasieciovych. Natomiast doniesienia pogłębione i perspektywne koncepcje, a także wyniki poważnych badań, oraz najistotniejsze konkluzje – jak w całej humanistyce i częściowo w obszarze nauk społecznych – nadal ujawniają się głównie w drukowanych publikacjach książkowych. Kto je zatem ignoruje, ten ponosi ryzyko, że wypadnie z naukowej gry. I na tym opiera się sens skrótowego referowania treści książek naukowych, w czym niekiedy biorę udział. Tym razem sygnalizuję publikacje, z których dwie powinien (jak sądzę) przeczytać każdy, komu nauka o informacji jest rzeczywiście bliska.

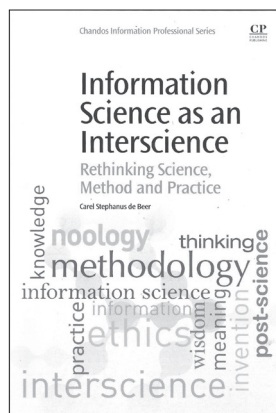
Nowa infozofia – raz jeszcze [****]

Carel Stephanus de Beer (2015): *Information science as an interscience. Rethinking science, method and practice*. Kidlington: Chandos Publishing, ss. 139. ISBN 978-0-08-100140-0

Rok temu przedstawiłem tu niezwykle ciekawą i ważną książkę¹ na temat nowej filozofii oraz zmodernizowanej koncepcji nauki o informacji – nie w pełni zresztą podzielając autorskie opinie, moim zdaniem nadmiernie skażone ideami postmodernizmu. Zwłaszcza apoteoza chaosu budzi wątpliwości, trudno ją bowiem z założeń teoretycznych przeszczepić na grunt praktycznych badań naukowych. No bo – poza samą ramą ogólną – niby jak? Aczkolwiek z tekstem prof. L. Floridiego niełatwo polemizować, bo jest napisany rewelacyjnie.

Tej opinii nie mogę jednak powtórzyć literalnie wobec sygnalizowanej tym razem publikacji – tematycznie oraz ideowo wysoce zbieżnej, również w odniesieniach postmodernistycznych. Jej autor, Carel Stephanus de Beer, to profesor informatologii z uniwersytetu w Pretorii (RPA), od lat zajmujący się filozofią informacji oraz tak jak L. Floridi postulujący nowe dla niej ramy i zmieniony charakter – co trafnie sygnalizuje w tytule określeniem internauki. Autorska znajomość filozofii w ogóle, a tym bardziej infozofii, oraz filozofii nauki, jest zresztą imponująca.

Natomiast sporo do życzenia pozostawia forma eksplikacji. Przekaz jest ciężki, mało klarowny, chwilami nadmiernie rozwlekły, ale przede wszystkim męczą niebывała ilość powtórzeń tych samych stwierdzeń i opinii. Wygląda to tak, jakby całość powstała z autonomicznych segmentów, które nie do końca przefiltrowano i zsynchronizowano. Traci na tym siła sugestii, mimo że wiele stwierdzeń ma kreatywny charakter i odpowiednie uzasadnienie.



¹ L. Floridi: *The 4-th revolution. How the infosphere is reshaping human reality*. Oxford: Oxford University Press 2014 – rec. w ZIN 2015, vol. 53, nr 1(105), s.132–134.

Już na samym wstępie pojawia się niejasność, kiedy przesłanki swoich wywodów de Beer określa jako postawę niekrytyczną, tłumacząc mętnie, że to jest objaśnianie bez krytykowania. Przypuszczam, że sygnalizuje w ten sposób podejście racjonalistyczne, chociaż głowy nie dam; mało to klarowne. Odwołuje się zaś również do noologii (termin także niejednoznaczny), czyli – w zasadzie – do wiedzy o umyśle oraz do *gry ideami*.

Tak czy inaczej, z tego właśnie punktu widzenia nobilituje naukę o informacji do rangi interdyscyplinarnej, a nawet internaukowej, bo mieści się na styku wielu dyscyplin oraz wykracza poza naukę. To miłe, ale skąd taki wniosek? Otóż stąd, że informacja jest bazą myślenia (mam wątpliwości, czy tylko, a poza tym to kolejny przejaw paninformacjonizmu). W związku z tym jednak, sama wymaga nowego sposobu myślenia o sobie. Ale konkretnie jakiego – to już nie wyjaśnia się w pełni.

Dalszy wywód nawiązuje do sugestii Edmunda Husserla, że oto nauka tradycyjna przeżywa kryzys, w następstwie ograniczającej formalizacji jej zakresów, sztywnej metodologii, nadmiernej ideologizacji, oraz pretendowania do uniwersalnej wszechmocy. To jest czynnik stagnacyjny, knebel (nie da się powiedzieć, że to całkowita nieprawda), który trzeba zerwać. Jak?

Opierając się na myśleniu, czyli na **rozumie**, ale inaczej niż w praktyce dotychczasowej, bo w oparciu przede wszystkim o wartości, a o prawdę – już mniej. Z tym akurat trudno się pogodzić, ale autor tak właśnie twierdzi. Natomiast ma rację, że to musi być myślenie konstruktywne a nie destrukcyjne, mocno inwencyjne i skorelowane z dużą dawką entuzjazmu.

W sumie de Beer dość demagogicznie każe wybierać tryb postępowania: determinizm czy indeterminizm, kreacja czy destrukcja, swoboda czy schematyzacja. Trochę to przypomina pytanie, czy chce się być bogatym i pięknym. Na wszelki wypadek, w odniesieniu do nauki o informacji, autor jednak anuluje dychotomię i zaleca jednoznacznie: indeterminizm, swobodę, oraz kreatywność. Czyli: myśleć trzeba kreatywnie, ale – bez przesady?

Jest też zdania, że ta dyscyplina w obecnej postaci uległa petryfikacji: skostniała i doszła do ściany. Być może, częściowo, nie jest to diagnoza mylna, zwłaszcza w dopowiedzi, że oderwała się od życia. No bo rzeczywiście – co konkretnie ma z niej praktyka informacyjna oraz biblioteczna?

Natomiast autorskie zalecenia konstruktywne trochę ociekają sloganami. De Beer twierdzi bowiem, że (nie tylko) w tej dyscyplinie trzeba unikać pewników i myśleć w sposób otwarty, z inwencją, całkowicie *po nowemu*. No i właśnie – to znaczy: jak? Dopowiada więc, że to ma być nauka **ruchliwa**, nomadyczna, wykraczająca poza naukę dotychczasową, czyli postnauka. Owszem, impuls innowacyjny jest nieodzowny, ale to akurat są same ogólniki albo metafory.

Autor wielokrotnie nawołuje, żeby wyjść poza naukę – ku rzeczywistości. Absolutnie tak, tylko że powtarza to w całej książce nieustannie, toteż trudno nie zadać pytania, co to właściwie znaczy. Oraz dopowiada, też w serii powtórzeń, że trzeba w tej dyscyplinie myśleć kompleksowo. Według mnie, to oczywistość. Którą de Beer dopełnia zaskakującą opinią, że nie potrzeba już więcej wiedzy, lecz więcej mądrości. Mądrość bez wiedzy? Otóż to jest ewidentna żonglerka werbalna. Ale oczywiście pomyśleć nad tym warto, przełamując mglistą metaforę.

W tej książce zresztą z reguły jest tak, że im bliżej do konkretów, tym mocniej śwędzą wątpliwości. Oto powiada autor, że internetyzacja informacji wprowadziła do informatologii formalne ograniczenia oraz technologiczny fundamentalizm: króluje inżynieria informacyjna. Owszem, ale w infotronice. W odniesieniu do nauki o informacji powiedziałbym raczej, że dokonała się biurokratyzacja opinii, a górę wzięło sloganiarstwo i myślowe leniwość, natomiast nie widzę wypowiedzi rzeczywiście inżynierskich. Jeśli już, to pseudoinżynierskie pozy, a to nie to samo. Ale być może autor widzi to szerzej.

Ratunkiem wobec застоju ma być dociekanie prawideł nadawania, transmisji, oraz odbioru informacji – i to jest bezdyskusyjnie racja. Ale co w tym nowego i odkrywczego? Wszak przecież do tego właśnie sprowadza się wykorzystywanie w informatologii metod i narzędzi, przejętych już dawno z teorii komunikacji. Ale powtórzę: zapewne warto to wszystko zastanowienia oraz rekapitulacji.

Autorska koncepcja teorii informacji zakłada oddalenie się w analizach od linearności, tabelaryzacji, a nawet od sieciowości. Na to miejsce de Beer wprowadza inną konfigurację, a na pewno

nazwę: to atlas wiedzy. Wielokierunkowy, otwarty, zanurzony w nieskończonej konwersacji, która po tym atlasie rozlewa się nieustannie, współkreując nowe treści. W takiej referencji to nawet ładnie wygląda, ale jakie są konkrety? A miało być bliżej życia...

Jego apologia nauki o informacji osiąga wyżyny w charakterystyce pracownika informacji. Z woli autora, to ma być mianowicie reprezentant całej nauki oraz całej wiedzy! Hmm... Czasem chciałoby się teoretyków informacji oddelegować na miesiąc do pracy w informatorium – pomiędzy konkrety. Zwłaszcza, że miejscem dosiężnym autorskiego wywodu jest nieoczekiwane określenie trubadur wiedzy. Jakkolwiek sformułowanie wygląda imponująco, to jednak powtórzę: hmm.

Klarowność eksplikacji nie jest dla tej książki charakterystyczna. Przeciwnie – wywody bywają mętne, przymglone dodatkowo przez wielokrotną powtarzalność. Natomiast fundamentalną zaletą jest próba wyrwania informatologicznych rozważań ze stagnacji, z zakłętęgo kręgu banałów i z mało ważnych problemów zastępczych. A chociaż autorskie sformułowania nie rzucają na kolana, bo są zbyt ogólnikowe, to jednak skłaniają do niestandardowych refleksji. Dlatego jest to publikacja, którą koniecznie trzeba przeczytać.

Z całą pewnością oryginalne i nobilitujące są autorskie odniesienia do różnych przesłanek filozoficznych. W bibliologii oraz w informatologii to jest absolutna rzadkość, tymczasem każdej nauce zaplecze filozoficzne – jeżeli jest – pomaga wyznaczyć rangę. De Beer odwołuje się do rozmaitych kierunków oraz szkół filozoficznych, biele poruszając się wśród nich slalomem, czasem zresztą w zaskakujących zestawieniach. W większości wywodów ujawniają się, wprost lub pośrednio, nawiązania do koncepcji postmodernistycznych oraz postponowoczesnych – co chwilami budzi mój sceptycyzm, ale w końcu to nie ja rozstrzygam, co jest trafne i ważne, a co nie.

Wśród wielorakich relacji oczywiste są autorskie nawiązania do krytyki czystego rozumu E. Kanta, oraz do rozważań G. Hegla o sprzecznościach pomiędzy logiką i faktami. To zaś daje asumpt do sugestii, że świat jest zbyt skomplikowany, aby do zrozumienia go wystarczyły proste reguły poznawcze. Nauka – twierdzi de Beer – wymaga rozległych i nieskrępowanych poszukiwań, oraz specjalnego myślenia kompleksowego (Edward Morin nazywał je spiralnym), możliwie pluralistycznego, jak zalecał ojciec filozofii postmodernistycznej, Jean-Francois Lyotard. Trudno z tym polemizować, ale wobec tego obecne u nas aktualnie bezkrytyczne bałwochwalstwo dla sformalizowanych ocen nauki, w postaci parametryzacji, należałoby z obrzydzeniem odrzucić. Tymczasem nikt tego nie robi...

Z drugiej strony: pełne przeniesienie tak zróżnicowanych założeń na grunt nauki o informacji, w autorskim opisie bywa nieraz nie tylko mało klarowne, lecz wręcz niemożliwe do zaakceptowania. Choćby w sugestii, że podstawy informacji oraz całej o niej nauki nie może stanowić prawda, bo to jest konstrukt abstrakcyjny – lecz zamiast niej: sensy i wartości. Te jednak, na moje wycucie, też są abstraktami, toteż cały ten wywód wygląda na kolejną żonglerkę terminologiczną.

W bezpośrednim nawiązaniu do nowych pomysłów na wiedzę o informacji, de Beer przywołuje opinie kolejnych filozofów. Oto więc Kanadyjczyk, Bernd Frohman uważa, że najwyższy już czas, aby oderwać się od abstrakcyjnej koncepcji komunikacji (również informacyjnej), a postrzegać oraz badać przebieg rzeczywistych procesów transmisji, a zwłaszcza odbioru. Natomiast Amerykanin David Blair dopowiada, że konkretnie trzeba rozpoznawać sygnalizacje oraz odbiorcze kreacje znaczeń, dalekie wszak od wzajemnej jednoznaczności, bo kontekst przyjmowania (dopowiem: i odbiorcza świadomość) w istotny sposób je różnicuje. To są sugestie szczególnie ważne, ale (jak widać w praktyce) rzadko brane pod uwagę.

Stosunkowo niecodzienne refleksje wynikają z poglądów francuskiego filozofa Emmanuela Levina-sa – że nauka i wiedza generują się głównie z etyki – oraz z rozważań Rainera Kuhlena (Niemcy) nad etyką informacji. Pada mianowicie pytanie o własność i o prawo własności informacji, prywatnych oraz publicznych w dużym przeciwieństwie pomieszeniu, a także o odpowiedzialność za ich treść i dystrybucję.

Jednak głównym filozoficznym guru pozostaje dla autora francuski uczony Michel Serres, cytowany w książce obficie i często. Który jest twórcą idei inteligencji zbiorowej, kreowanej wspólnie w oparciu o łączność między ludźmi, a więc o wymianę informacji, czemu sprzyja *nieograniczona*

możliwość relacji w przestrzeni wirtualnej. Otóż w rzeczywistości niekoniecznie tak jest, a teza o nieograniczoneści to czysta abstrakcja.

Kończowa w tym segmencie opinia jest taka, że dotychczasowy system informowania oraz kształcenia sprzyja raczej zapamiętywaniu istniejących treści, aniżeli kreowaniu nowych, więc w niemałym stopniu ogranicza myślenie, petryfikuje, sprowadzając wychowanie do opanowania sprawności, użytecznych obecnie, ale w przyszłości – już niekoniecznie. Niby racja, jednak to zaledwie cienki dodatek w szerokim dyskursie na temat kryzysu edukacji szkolnej oraz pozaszkolnej, w którym inni autorzy² mają do powiedzenia znacznie więcej.

Mimo zgłaszanych tu obiekcji wobec postponowoczesnej apoteozy chaosu i niepewności – w nauce to może być czynnik sprawczy, lecz nie jedyna wykładnia – główne autorskie opinie warto wziąć pod uwagę, co najmniej dla przemyślenia. Zwłaszcza jego apel o rozumowanie otwarte, pełne inwencji kreatywnej, a więc wykraczające poza samą tylko innowacyjność, która jest z góry ograniczona.

Do tego zaś konieczna jest nowoczesna koncepcja teorii informacji, którą autor lokalizuje w samym centrum nauki w ogóle. Jednak z ukierunkowaniem nie tyle na informacyjną technologię, co głównie na przemyślenie miejsca i roli człowieka w świecie informacji.

Z tej książki, a jeszcze bardziej z przywołanej tu już publikacji L. Floridiego, wyłania się interesujący obraz refleksji naukowej nad informacją i panoramą jej filozoficznej podbudowy. Poziom imponujący. Zdecydowanie przewyższa jakością filozoficzne refleksje nad bibliotekarstwem, jakie stosunkowo niedawno trafiły mi się do czytania³. Co stwierdzam z niejaką zazdrością, bo jednak klasyczne bibliotekoznawstwo jest mi trochę bliższe.

Informacja polityczna [**]

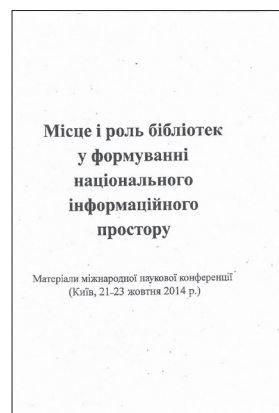
Tetiana Granczak (2014): *Biblioteka w informacyjnym suprowodzie uprawlinnia suspilnimi procesami: politiko-komunikacijnij aspekt*. Kiiw: Nacionalna Akademia Nauk Ukraini, Nacionalna Biblioteka Ukraini im. W.I.Wernadśkogo, ss. 182. ISBN 978-966-02-7136-4

Zasadność opinii de Beera rzuca się w oczy najbardziej tam, gdzie sformalizowane ograniczenia pseudonaukowe sprowadziły rozmaite dyscypliny naukowe do parteru, skąd teraz trudno im się wygrzebać. Tak jest w Rosji, na Białorusi i na Ukrainie (zapewne nie tylko), gdzie post-sowieckie kanony nadal w tamtejszym bibliotekoznawstwie i w nauce o informacji stanowią zauważalne obciążenie, mimo ewidentnych wysiłków, żeby się z nimi rozstać.

Dotyczy to także drobiazgów (ale uciążliwych), jak mania sygnalizowania autorskich imion tylko przez pierwsze litery, więc wielu autorów nie da się zidentyfikować. Także – zagranicznych, bo z kolei notowanych tylko po rosyjsku (białorusku, ukraińsku), bez łaćńskiej transkrypcji. No i jest też praktyka operowania skrótami nazw, dla obcokrajowca nie do rozszyfrowania, a żadnych indeksów nie ma. Na to zaś nakłada się jeszcze dotkliwie odcięcie od źródeł zachodnich, trochę za sprawą odmiennych alfabetów i odrębnego internetu, a także niedostatku środków na zachodnie publikacje, ale przede wszystkim to jest efekt zasiedziałego tam izolacjonizmu. Szkoda, bo potencjał wydaje się znaczny.

² Np. G. Thomas: *Education*. Oxford: Oxford University Press, 2013; *Neuroscience in education*: Oxford: Oxford University Press, 2012.

³ Bill Crowley: *Renewing professional librarianship. A fundamental rethinking*. Westport: Libraries Unlimited, 2008; Charles B. Osburn: *The social transcript. Uncovering library philosophy*. Westport: Libraries Unlimited, 2009.



Jednak najdotkliwsza tamtejsza petryfikacja odnosi się do sposobu uprawiania obu dyscyplin i nauk humanistycznych w ogóle – w dokładnej opozycji do sugestii de Beera i Floridiego – gdzie górę biorą roztrząsania terminologiczne. Otóż sporo wypowiedzi, poza tym nieraz ciekawych, sprowadza się do tego, co znaczy jakieś sformułowanie, oraz kto co powiedział. Mam nadzieję, że my mamy to za sobą, ale za pewność nie poręczę. W sygnalizowanej tu książce ukraińskiej (oczywiście nietrudno zrozumieć, że uprawianie nauki tam teraz to zadanie szczególnie skomplikowane), przywołuje się bagatelne opinie autorów głównie ukraińskich i rosyjskich, równie *odkrywcze*, jak stwierdzenie, że po środzie następuje czwartek. Chwilami trudno to czytać.

Nie lekceważę terminologii, ale to jest tylko narzędzie (a raczej narządko), a nie przedmiot i cel naukowego poznania. To tak, jak krakowsko-warszawska kontrowersja, czy wychodzi się *na dwór*; czy też *na pole*, podczas gdy w rzeczywistości wychodzi się na ulicę. Z tego nie wynika absolutnie nic.

W sygnalizowanej tu książce autorka z kijowskiej Akademii Nauk podjęła rozważania na temat istoty oraz funkcjonowania informacji politycznej i roli bibliotek w jej transmisji. Zdawałoby się, że w kraju o postsowieckiej proveniencji oraz z tak niebywałymi zawirowaniami politycznymi w historii i w teraźniejszości, trudno o temat bardziej fascynujący. Tymczasem tekst utonął w żonglerce terminami oraz w jałowej kazuistyce, miejscami nudząc ponad wytrzymałość. Nie twierdzą, że jest w ogóle bez wartości (bo nie byłoby tego omówienia), ale sporą część książki skaził właśnie formalizm, w ZSRR uznawany za ważny wskaźnik nauki, ale dzisiaj prezentujący się smętnie.

Właściwie tylko raz, na dwóch stronach, ujawnił się cały dramatyzm wydarzeń politycznych, oraz skomplikowania politycznej informacji, w powiązaniu z bibliotekarstwem, na Ukrainie zilustrowany akurat... zmianami nazwy obecnej Biblioteki Narodowej. Otóż w 1918 r., decyzją hetmana Skoropadskiego, została powołana Biblioteka Narodowa Ukrainy. W rok później władze komunistyczne zmieniły jej nazwę na Bibliotekę Ogólnonarodową. W 1934 r. nowa nazwa brzmiała: Ogólnoukraińska Biblioteka Akademii Nauk, a po dwóch kolejnych latach – Biblioteka Akademii Nauk USRR. W 1965 r. dokonano następnego przemianowania na Centralną Bibliotekę Naukową Akademii Nauk USRR. W 1988 r. dodano: im. W.I. Wernadźskiego. No i wreszcie od 1996 r. to jest Narodowa Biblioteka Ukrainy im. I.W. Wernadźskiego.

Już samo to jest symptomatyczną charakterystyką chwiejności politycznej informacji oraz politycznego uwikłania bibliotek. Zarazem też żonglerka nazwami i celebrowanie rejestracyjnych detali ilustruje pośrednio absurd pseudonaukowego formalizmu, od którego tak zdecydowanie odciął się de Beer, nie mając zresztą pojęcia, jak to wygląda w okolicznościach ekstremalnych. A ich ślady, wciąż jeszcze obecne za naszą wschodnią granicą, redukują produktywność tamtejszych dociekań informatologicznych i bibliologicznych znacznie poniżej możliwości.

W gąszczu rozmaitych mielizn formalnych zaplątała się też Tetiana Granczak, w swojej mocno zresztą chaotycznej relacji – przywołując przy tym (bez żadnego pożytku) mnóstwo tekstów ukraińskich oraz rosyjskich, które po prostu napompowały bibliografię. Natomiast zabrakło potrzebnego, ale dobrego uściślenia, co to właściwie jest ta polityczna informacja. Znalazł się tam wprawdzie zapis, że to zawartość dokumentów państwowych (rządowych i samorządowych) oraz międzynarodowych, ale trudno wszak na tym poprzestać. Za to można się zgodzić, że – jak napisano – w komunikacji politycznej biblioteki pełnią role archiwizatorskie oraz transmisyjne, rozpowszechniając stosowne materiały i w ten sposób przyczyniają się do demokratyzacji życia politycznego, które dzięki temu jest mniej utajone. Ale istnieje także, niestety, jeszcze jedna funkcja, nierzadko *standardowo* narzucana bibliotekom – co Granczak słusznie sygnalizuje – mianowicie rola agend politycznej propagandy.

W dążeniu do pełnego ustalenia relacji pomiędzy informacją polityczną i bibliotekami, autorka liczy (nie wiem czy słusznie) na nowe opinie naukowe, wynikające z innego niż dawniej sposobu postępowania w naukach o bibliotece i o informacji. W ZSRR mianowicie traktowano biblioteki jako ośrodki propagandy ideologicznej – z dramatycznymi tego skutkami – a podstawy ku temu sformułował O. Czubarjan, główny ideolog (a moim zdaniem: dewastator) tamtejszej bibliologii. A co

zmieniło się konkretnie? Otóż w następstwie uznania bibliotek za instytucje społeczne (ale nie ma wyjaśnienia: przez kogo), obecnie biorą górę społeczne oraz komunikacyjne analizy bibliotekarstwa i funkcjonowania informacji, zdecydowanie produktywniejsze, niż ideologiczne. Może to i racja, jednak zaniepokoiło mnie wplątanie w ten wywód wzmianki o metodzie dialektycznej, o której tacy jak ja zdążyli zapomnieć, a młodszy nigdy nie słyszeli. Czyżby miało wrócić nowe?

Jest w tej książce bardzo drobiazgowy, chociaż wybiórczy, przegląd historyczny bibliotecznych i okołobibliotecznych wydarzeń na świecie, potwierdzający konieczne, ale niebezpieczne uwikłanie bibliotek – czasami wbrew woli, a czasem nie – w procesy politycznej informacji oraz propagandy. Co wprawdzie w tekście zakłóca ogólny tok eksplikacji, ale samo w sobie jest interesujące.

Granczak uwypukla manipulatorską rolę bibliotek w tym zakresie, wymuszoną przez władze, przede wszystkim w hitlerowskich Niemczech, w carskiej Rosji, oraz w ZSRR. O współczesności wypowiada się mniej i ostrożnie, deklarując ufność w demokratyczne systemy władzy, jakkolwiek te nie są przecież powszechne. Tonuje natomiast entuzjazm wobec demokratyzacyjnych cech Internetu, ponieważ w komunikacji sieciowej występują licznie również zjawiska przeciwstawne. Dlatego, jej zdaniem, właśnie biblioteki mogą i powinny stać się neutralnymi agendami rzeczywiście informacyjnymi, likwidując ewentualne służebności propagandowe.

Co łatwo napisać, ale w praktyce wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane. A swoją drogą, to mógłby być obszar do dyskusji z tezami C. S. de Beera, jakoby w informacji prawda nie musiała stanowić kategorii fundamentalnej. Lecz takiej konfrontacji poglądów oczywiście nie ma.

Bieżące powiązania bibliotek z informacją polityczną – głównie w kontekście ukraińskim i to akurat jest najciekawsze – autorka sprowadza do czterech wariantów. Charakteryzuje mianowicie biblioteki parlamentów, upatrując ich główne powinności w informacyjnej obsłudze organów władzy wszystkich szczebli, natomiast ich ofertę dla szerokiej publiczności traktuje marginalnie.

Odrębnie opisuje biblioteki prezydenckie – w USA, w Rosji, oraz na Białorusi – jakkolwiek ich rola klaruje się mętnie i to bynajmniej nie z winy autorki: tak chyba rzeczywiście jest. Na Ukrainie zresztą takiej biblioteki nie ma, jednak w strukturze tamtejszej Biblioteki Narodowej istnieją kolekcje prezydenckie, złożone z zagranicznych podarunków dla czterech (teraz pięciu?) kolejnych prezydentów Ukrainy. W opisie wygląda to na składnicę rozmaitych rekwizytów, więc nie tylko książek, a jaki miałby z tego być pożytek, odgadnąć niełatwo. Tak czy inaczej, takie biblioteki istnieją i – przynajmniej formalnie – biorą *jakiś* udział w procesach politycznego informowania.

W ogóle natomiast kijowska Biblioteka Narodowa (tak jak inne biblioteki narodowe), zdaniem autorki, wypełnia w komunikacji politycznej rolę doniosłą, opracowując i rozpowszechniając informacje polityczne oraz komentarze – w rozmaitych formach. Granczak zreferowała to bardzo szczegółowo, dodając jeszcze wysoką ocenę tej działalności przez władze polityczne, ale nie wspomniała: które. Wygląda na to, że na Ukrainie oraz w innych krajach jest mniej więcej tak, jak napisała; i tu pojawia się refleksja, że być może nie byłoby źle, gdyby akurat biblioteki narodowe w informacyjne politykowanie angażowały się jak najmniej. To jest gra naprawdę ryzykowna. W końcu zaś to właśnie biblioteki parlamentarne (oraz ewentualnie prezydenckie) są powoływane do takich zadań.

Inne biblioteki naukowe oraz publiczne na Ukrainie (łącznie 865), wspólnie z narodową, tworzą i rozpowszechniają polityczne bazy informacyjne, bibliografie, oraz inne materiały, w tym także prawne – z retrospektywą aż do 1938 roku, ale nie wyjaśnia się po co i do czego miałyby to komukolwiek służyć – na szeroki użytek publiczny. W znacznej części istnieje do nich dostęp przez internet, czasami w *popularnej* postaci pytań oraz odpowiedzi. I to jest czwarty wariant obiegu informacji politycznych.

Granczak nie ma wątpliwości, że biblioteki powinny informować społeczeństwo o polityce władz, a dla nich z kolei konsultować stan i jakość politycznej informacji, oraz ponadto uczestniczyć w wychowaniu obywatelskim – jakkolwiek pod istotnym warunkiem: unikania jakiegokolwiek konkretnej indoktrynacji ideologicznej. Oczywiście nie sposób wyłączyć biblioteki z obiegu politycznej informacji, ale grunt jest śliski, a cytowany warunek, chociaż niby słuszny, jest rozbijającą nierealny. Rzeczywistość bowiem nie zna nigdzie sytuacji całkowitej neutralności bibliotek (i bibliotekarzy)

wobec swoich organizatorów, tak publicznych, jak i pozarządowych oraz pozasamorządowych. Każdy kto płaci, zawsze jest pierwszy w kolejce po laury, sympatię i po aprobatę.

Dlatego na racjonalną i neutralną informację polityczną można liczyć tylko wówczas, kiedy w jej rozpowszechnianie (z przejmowaniem od rozmaitych nadawców) zaangażują się biblioteki różnej proweniencji, ale wyłącznie dla transmisji, kategorycznie natomiast bez komentowania. Bo tym akurat zajmują się inni.

Tego właśnie uczy – wydawałoby się, że na Ukrainie szczególnie – obfita historiografia najnowsza. Okazuje się bowiem, że te same informacje polityczne, oraz zdarzenia i fakty, prowadzą do całkowicie odmiennych konkluzji, a nieraz nawet do konfrontacji fizycznych. Trzeba więc postępować ostrożniej, aniżeli z kwasem solnym. Oraz na przekór opinii de Beera, przywrócić informacji konieczny atrybut prawdziwości. Na ile jest to możliwe.

W książce Tetiany Granczak przeważa koncepcja wykreowania na Ukrainie (i zapewne wszędzie) względnie jednolitego, spójnego systemu informacji politycznej, przede wszystkim za pośrednictwem bibliotek. Ta idea, ewentualnie słuszna w obszarze informacji potocznej, albo naukowej, lub innej przedmiotowej, w odniesieniu akurat do politycznego informowania, wydaje się błędna. Praktyka podpowiada bowiem, że to pluralizm nadawczy i transmisyjny jest w tym wypadku rozwiązaniem najlepszym.

Internet głęboki [*****]

Jane Devine, Francine Egger-Sider (2014): *Going beyond Google again. Strategies for using and teaching the invisible web*. London: Facet Publishing, ss. 180. ISBN 978-1-85604-838-5

Znalazłem dowód na galopadę czasu. Kiedy mianowicie przed sześcioma laty zauważyłem książkę⁴ tych samych (jak wyżej) autorek, zaniechałem czytania, bo temat wydał mi się marginalny. Dotyczył mianowicie tzw. internetu głębokiego albo ukrytego. Określenia są zresztą różne: *invisible Web*, *deep Web*, *hidden Web*, *darknet* i dotyczą tej zawartości sieci (w tym mnóstwa bibliotecznych baz danych), której nie wyluskują popularne wyszukiwarki, w tym również Google. Czego nie należy mylić z niezamazywalnymi śladami każdego zapisu w sieci, sygnalizowanymi jako deep log, bo to coś zupełnie innego⁵. Otóż wystarczyło kilka lat, żeby rozległość zjawiska przerosła wszelkie wyobrażenie.

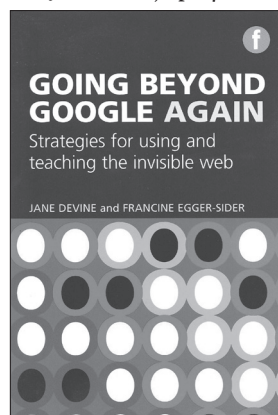
Tak więc to był błąd. Nie miałem racji – również ze względu na jakość referencji. Oto bowiem druga książka na ten temat tych samych autorek jest pod każdym względem znakomita. Świetnie napisana, kompetentna i głęboko mądra. Okazja do takiej lektury zdarza się bardzo rzadko. Obie panie pracują w bibliotece La Guardia Community College (Devine to szefowa) – ogromnej, wielodziedzinowej szkoły wyższej, jednej z największych w USA, w Long Island City, blisko Nowego Jorku – i doświadczenia praktyczne dodatkowo cały wywód racjonalizują.

Zdaniem autorek, granice ukrytego Internetu (jest jeszcze nowa nazwa segmentująca *cognitive invisible Web*) są płynne. Aktualnie to podobno 85% informacji, w ogóle zgromadzonych na stronach WWW, z czego standardowe wyszukiwarki wylawiają teraz coraz więcej, ale to raptem 1/3 ogółu treści⁶. Jeżeli to prawda, to opowieści o tzw. społeczeństwie informacyjnym są zbiorem mitów.

⁴ J. Devine, F. Egger-Sider: *Going beyond Google. The invisible web in learning and teaching* New York: Neal-Schuman 2009.

⁵ D. Nicholas, D. Clark: *Evidence of user behaviour: deep log analysis. W: User studies for digital library development*. London: Facet Publishing 2012, 85-94.

⁶ Podobna opinia: T. Mann: *The Oxford guide do library research*. Ed. 4. New York: Oxford University Press 2015, 1.



Jakkolwiek niedostępność dla wyszukiwarek bywa często zamierzona, z góry jest także efektem różnych filtracji, personalizacji, oraz passwordów. Z drugiej strony: są też inne formuły wyszukiwania, ogarniające częściowo ukryty Web. Poważnym rywalem dla Google jest teraz Facebook, rośnie też korzystanie z Wikipedii, zaś specjalnie dla głębokiego Internetu powstała wspierająca baza *Silence Direct*.

W Internecie ukrytym przeważają informacje wyspecjalizowane, więc szczególnie ważne dla specjalistów właśnie. Tymczasem według rozeznania autorek, najczęściej docierają do tych wiadomości *komputerowcy* i w ogóle informatycy, natomiast inni fachowcy już znacznie rzadziej i daleko nie wszyscy. Również bibliotekarze oraz pracownicy służb informacyjnych – nieczęsto (!?), jeżeli nie liczyć korzystania z własnych baz danych. To sygnalizuje, że są w tym zakresie ogromne rezerwy. Tym bardziej, że obecnie widać radykalny wzrost aplikacji na smartfony, co potencjalny zasięg takiej oferty może rozszerzyć jeszcze bardziej.

Na razie publiczność zdecydowanie preferuje wyszukiwarki Google, ze względu na szybkość, wygodę, oraz (już) przyzwyczajenie, mimo że posiłkowanie się słowami kluczowymi (to obecnie norma) nieraz sprawia trudności⁷. Mało kto natomiast zdaje sobie sprawę, że ukryty internet zawiera inne treści, toteż nawet poszerzenie obszaru wyszukiwawczego przez Google – co ostatnio ma miejsce – nie zapewnia dostępu do wszystkich informacji potrzebnych i ważnych.

Tak czy inaczej (badania na dużej próbie) poszukiwanie informacji zaczyna od wyszukiwarek 80% internautów, a ponad 83% studentów⁸, podczas gdy od bibliotek nie zaczyna tego prawie nikt. Potem, w dalszym korzystaniu, proporcje są już inne. Mianowicie sieciowe wyszukiwarki wykorzystuje w ogóle 93% publiczności, natomiast biblioteczne bazy informacyjne 33% publiczności ogólnej, a 57% studentów. I to niezależnie od tego, że ostatnio zaufanie do standardowych wyszukiwarek podobno spada⁹.

Usytuowanie autorek w bibliotece uczelnianej ułatwiło analizy zbiorowości studenckiej – w dużej (ponad 8000 respondentów) grupie, co czyni wyniki w miarę wiarygodnymi. W najogólniejszym ujęciu, Devine i Egger-Sider są zdania, że studenci rozpaczliwie walczą z nadmiarem informacji, toteż traktują automatyczne wyszukiwarki jak zbawienie, nie uświadamiając sobie różnicy pomiędzy informacją szybką a rzetelną, zwłaszcza naukową¹⁰. Najchętniej zadowolają się informacją dostateczną, bez intencji pogłębienia lub wzbogacenia. Potwierdza to prof. Naomi Baron w przeglądzie doniesień badawczych; okazuje się mianowicie, że 77% studenckich cytowań w różnych rozprawach pochodzi z pierwszych trzech stron cytowanych źródeł¹¹. A z moich własnych obserwacji wynika, że tak postępują nie tylko studenci.

Interesujący jest też, przedstawiony przez autorki, hierarchiczny rejestr sygnalizowanych trudności przy studenckim łowieniu informacji. Otóż dla 84% trudny jest sam start, potem zaś – ustalenie konkretnego zakresu poszukiwań (66%), oraz odrzucenie treści zbytecznych (61%). Odsetki są niepokojąco wysokie.

O internetowych wyszukiwarkach – tak jak wielu innych znawców – autorki nie mają najlepszego zdania, twierdzą bowiem, że proces wyszukiwania przebiega w nich trybem *jak leci*. Ewentualna personalizacja opiera się na odnotowaniu wyszukiwań poprzednich (cookies) oraz dotychczasowych kontaktów, a czasem także miejsc zamieszkania. To może wystarczyć dla reklamy butów, bądź najbliższego fryzjera, ale nie dla informacji poważnej. Tę oferują (w tym celu wszak weryfikowane) bazy biblioteczne, lecz ich wykorzystanie nie jest wystarczająco szerokie.

⁷ Mann, 2015, 116.

⁸ *Perceptions of libraries 2010. Context and community*. Dublin (USA): Online Computer Library Center 2011, 54.

⁹ *Perceptions*, 2015, 43, 56.

¹⁰ Mann, 2015, 339.

¹¹ N. S. Baron: *Words onscreen. The fate of reading in a digital world*. New York: Oxford University Press 2015, 39.

Z tego zaś bierze się autorska sugestia, że do używania internetu głębokiego trzeba przysposobiać – już uczniów w szkole, a potem studentów. W praktyce: dwuetapowo. Najpierw każdy powinien opanować ogólne reguły szukania oraz korzystania z informacji w sieci, a potem, w drugiej fazie – docierania do internetu ukrytego. Ze specjalnych sondaży wynika, że w USA i w UK praktykuje się to bardzo rzadko. Przypuszczam, że u nas też.

Referując to, chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną opinię auterek, zasygnalizowaną na koniec rozważań, niby marginalnie, ale dobrze udokumentowaną. Otóż (nie tylko) ich zdaniem, rozwój technologii komunikacyjnej zmierza w zauważalnym stopniu do częściowego zastąpienia dotychczasowych – w zasadzie pisemnych (z dodatkami) – relacji między nadawcami, urządzeniami i publicznością, przez systemy głównie dźwiękowe i głosowe. Podobno nie tylko w obszarze komend i porozumień zwrotnych (co wyeliminowałyby klawiatury i wskaźniki manualne), ale też w zakresie serwowania treści. Stąd biorą się różne inne głosy, że oto być może zanosi się na fragmentaryczny powrót do komunikacji oralnej – jak ongiś – tyle, że teraz w wersji stechnicyzowanej, pośredniej oraz masowej.

Myślę, że ma w tym przypadku miejsce nieuprawniona nadinterpretacja. Dla refleksji, dla nauki i dla edukacji, a zresztą nawet dla komunikacji potocznej, wyłącznie audialny lub audiowizualny system porozumiewania się absolutnie nie wystarczy. Gdyby było inaczej, po co byłoby rezygnować w swoim czasie z magnetofonów i audiokaset, oraz modernizować transmisje telewizyjne, a i współczesny obieg audiobooków nie byłby tak marginalny, jak jest. Osobiście dostrzegam w tych głosach kolejne próby zdyskredytowania pisma jako ważnego narzędzia w publicznym porozumiewaniu się. Myślę, że trzeba do tego podchodzić z najwyższą nieufnością, ponieważ twardych dowodów nie ma.

Natomiast jest jakaś racja w sugestiach obu auterek, że uznanie jakoby obecny kształt semiotyczny komunikacji publicznej, więc także informacyjnej, był już zamknięty i ukształtowany ostatecznie, to co najmniej nieostrożność, albo nawet błąd. Po prostu nie wiemy, co w tym zakresie można jeszcze wykreować nowego. Trzeba zatem obserwować i w miarę potrzeby reagować na to, co ulegnie zmianie. Również, jeśli kiedyś Internet głęboki przestanie być w pełni ukryty.

Nadesłano: 26 września 2015.